

ZATRZYMANE KOLORY PAMIĘCI

ZATRZYMANE KOLORY PAMIĘCI

ANTOLOGIA OPOWIADAŃ

Łuków 2020

Publikacja „Zatrzymane kolory pamięci” jest pokłosem konkursu, który miał na celu stworzenie opowiadań szczególnych, bo dotyczących osobistych wspomnień, ważnych, życiowych momentów i historii związanych z autorami.

„Zatrzymane kolory pamięci” to powrót do krainy dzieciństwa, lat młodości, czasów beztroski, ale również do historii trudnych, naznaczonych znakiem wojennej zawieruchy, poświęcenia i różnorodnych wyborów.

Każde z zamieszczonych opowiadań niesie ze sobą bagaż emocji i doświadczeń. Niesie także wartości najcenniejsze: miłość, nadzieję i szacunek.

Autorom nadesłanych tekstów składam gratulacje i podziękowania za zaangażowanie i pasję. Zapraszam do lektury opowiadań, do wspomnień i zapisywania rodzinnych historii, w których można zatrzymać wszystkie kolory swojej pamięci i pamięci naszych najbliższych.

Alicja Dymitruk

Małgorzata Szczygielska, *Buty*

Ksiądz Wajszczuk zamknął brewiarz i popatrzył przed siebie. Był koniec maja 1942 roku. Na tle rozkwitającej bawarskiej zieleni rysowały się ponure wieże strażnicze i naelektryzowane druty, a jeszcze bliżej zagroda z kolczastego drutu, jaką odgrodzono „księżę baraki” od reszty obozu. Znajdował się w Dachau, wzorcu wszystkich pozostałych obozów koncentracyjnych.

Kara to, czy wyróżnienie? Starzy polscy więźniowie mawiali przecież: *Nie każdy zasłużył sobie na Dachau!*

Wiedział, że dla niego to już stacja końcowa. Obrzękłe nogi dokuczały mu coraz bardziej, nie był już w stanie ukryć utykania podczas defilad na placu apelowym – osławionych „Schwanzparaden”. Niedawno, kiedy maszerowali po placu z czapkami przyciśniętymi do uda, komendant Zill wyłowił go z szeregu, przyjrzał mu się i kazał

pisarzowi spisać jego numer: 22572. Prócz niego spisano jeszcze wielu innych – samych chorych, kalekich lub w podeszłym wieku.

17 maja napisał ostatni list do rodziny w Siedlcach (tam spędził dzieciństwo, choć rodzina jego ojca pochodziła z Trzebieszowa). *Myślę, że niedługo, może już w następnym tygodniu, zmienię miejsce zamieszkania. Przejściowo pozostaję jeszcze tutaj. Gdy będę już przesiedlony, to napiszę i podam swój nowy adres.* Nie chciał ich niepokoić, chociaż dobrze wiedział, co w mowie Dachau oznacza „zostać wpisanym w transport inwalidów”.

– Jedziecie do sanatorium – mówili esesmani. – Na wypoczynek.

Oni jednak wiedzieli. Takie wybiórki zaczęły się już poprzedniej jesieni, kiedy Niemcy triumfowali na froncie wschodnim. Wtedy jeszcze można było kogoś oszukać. Mówiono więźniom, że władze opróżniają obóz na przyjęcie jeńców sowieckich i rzeczywiście ogrodzono dla nich nieparzyste baraki od 19 do 27, umieszczając nad bramą tablicę z napisem „Kriegsgefangenenlager” – „obóz jeniecki”. Planowano zastąpić Rosjanami

część bardziej wyeksploatowanych więźniów, którzy tymczasem mieli odzyskiwać siły do pracy w jakimś innym obozie o lżejszym rygorze.

Wielu dobrowolnie zgłosiło się do transportu, licząc na nieco lepsze warunki bytowe. Ale w kilka tygodni po odjeździe pierwszej grupy inwalidów ktoś podpatrzył w kancelarii plik zawiadomień w ich sprawie: „Abgang durch Tod”, głośiły wszystkie. „Odejście przez śmierć”. Od tej pory stało się jasne, że „transporty inwalidów” szły nie do uzdrowiska, lecz wprost do komór gazowych.

Ksiądz Wajszczuk spojrział w niebo: przynajmniej nieba nikt nie może zagrozić mu drutami.



Ks. Karol Leonard Wajszczuk.
Fotografia ze zbiorów Waldemara Jerzego Wajszczuka
(bratanka ks. Karola)

Pamiętał dzień, w którym przybył do Dachau. Było szaro, ciemno i grudniowo. Wieziono ich wagonami towarowymi aż z Sachsenhausen pod Berlinem. Jechali długo. Wreszcie lokomotywa zagwizdała, koła zaturkotały po rozjazdach, a w dali ukazały się budynki dworcowe z wielką tablicą, na której gotyckimi literami wypisane było: DACHAU. Później, otoczonych przez psy i strażników, pognano ich gościńcem w stronę obozu, gdzie przywitała ich brama z kutym napisem: ARBEIT MACHT FREI.

Księży umieszczono w osobnych barakach nr 28 i 30, a później także 26. Jeśli przeciętna waga więźnia Dachau nie przekraczała w owym czasie 40 kg, księża wyróżniali się nawet na tym tle. *Byli szczególnie wynędzniali i schorowani* – wspomina Bronisław Najniger, więzień z grupy śląskiej. – *Nie pieszczono się z nimi nigdy w Dachau, opanowanym przez „czerwonych” [komunistów]. Nie oszczędzano ich tym bardziej*

w innych obozach, gdzie funkcyjnymi byli przeważnie „zieloni” [kryminalni], a więc w Oświęcimiu, Sachsenhausen, Gusen-Mauthausen itp.

Warunki bytowe księży polepszyły się dopiero po interwencji papieża Piusa XII, z którym władze niemieckie starały się utrzymywać poprawne stosunki. 26 marca 1941 roku zwolniono księży z obowiązku pracy, pozwolono im odprawiać nabożeństwa i oddano zarekwirowane brewiarze. Zwiększono im wikt i zezwolono na kąpiel dwa razy w tygodniu. Wszystko to sprawiło, że reszta więźniów zaczęła krzywo patrzeć na „uprzywilejowanych klechów”.

Esesmani ze swej strony wymyślali różne wybiegi, by ominąć zarządzenia władz. W wolnym czasie urządzali księżom „gimnastykę” i „ścieżki zdrowia”, nieraz cięższe od pracy w brygadach roboczych. Obarczyli ich też obowiązkiem roznoszenia kotłów z zupą po barakach, nazywając to „chrześcijańską posługą”. *Zwykli więźniowie, którzy dotąd pełnili ciężką służbę tragarzy jedzenia, odetchnęli z ulgą – wspomina Najniger. – Całą*

tę przyjemność, wraz ze wszystkimi szykanami, biciem i kopaniem, zwalono na barki wszystkich bez wyjątku księży. I na tych schorowanych, słabych, w podeszłym wieku.

Spotkało się to z natychmiastową reakcją władz kościelnych. Komendant Zill musiał odpierać zarzuty:

– Nie rozumiem, o co ten krzyk. Przecież oni tylko usługują do stołu, jak na chrześcijan przystało!

Dla spuchniętych nóg księdza Wajszczuka, pokrytych wrzodami, dźwiganie ciężkich kotłów z zupą było wyzwaniem ponad siły. Podobnie jak skakanie żabką wokół placu czy inne rozrywki, wymyślane dla księży przez samozwańcych wychowawców w czarnych mundurach.



Ks. Karol z rodziną przy stogu siana nieopodal plebanii.
Fotografia ze zbiorów Waldemara Jerzego Wajszczuka (bratanka ks. Karola)



Ks. Karol Leonard Wajszczuk.
Fotografia ze zbiorów Waldemara Jerzego Wajszczuka (bratanka ks. Karola)

Zresztą te wątpliwe „przywileje” i tak wkrótce zniesiono, a od 19 września 1941 r. szykany wobec księży jeszcze się nasiliły. Stało się to podobno „na życzenie” samych księży, gdyż pewnego dnia komendant Zill ogłosił na apelu:

– Niech ci z księży, którzy czują przynależność do narodu niemieckiego i są lojalni wobec naszej ojczyzny, Trzeciej Rzeszy, wystąpią z szeregu!

Wystąpiło dwóch. A i tych dwóch następnego dnia zmieniło zdanie. Dla władz obozowych był to wystarczający powód, by wzmóc represje.

Wtedy też odebrano księżom dobre, skórzane buty na drewnianych podeszwach i zastąpiono je drewniakami, które nazywano w obozie „narzędziami tortur”. Swoje skórzane buty ksiądz Wajszczuk przywiózł tu aż z Sachsenhausen. Były na niego trochę za małe i cisnęły w palce. Wcześniej należały bowiem do jego młodszego o 20 lat kolegi,

księdza Stefana Ceptowskiego, z którym dzielił celę na lubelskim Zamku tuż po aresztowaniu w 1940 roku.

Samo aresztowanie wyglądało typowo. 28 kwietnia 1940 r. pod plebanię w Drelowie zajechał czarny samochód. Wysiadł z niego funkcjonariusz gestapo i dwóch żandarmów. Zażądali widzenia z proboszczem.

Ksiądz Wajszczuk wyszedł z plebanii i podał im dokumenty:

– To ja.

Gestapowiec zaprosił go do samochodu.

Ksiądz spokojnie pożegnał się z organistą, Antonim Patkowskim, i wrócił po brewiarz. Odjeżdżając, pobłogosławił parafian, zbierających się w opłotkach:

– Zostańcie z Bogiem!

Spodziewał się tego aresztowania od dawna. Przez całą zimę ukrywał się w Woskrzenicach u swojego stryjecznego brata (przy czym kazał rozpowszechniać pogłoskę, że wyjechał do Kodnia), a w kwietniu przeniósł się na kwaterę do jednego ze swoich parafian. Kiedy usłyszał, że jego kuzyn został aresztowany przez gestapo, spróbował potajemnie wyjechać do Kolembród, ale został zatrzymany za Żelizną i zawrócony do Drelowa. Aresztowanie było tylko kwestią czasu.

Żandarmi powieźli go najpierw na gestapo do Międzyrzeca, a stamtąd do Radzyna. Choć już wtedy obawiał się najgorszego, skończyło się tylko na krótkim przesłuchaniu. Już następnego dnia został zwolniony do domu, pod warunkiem, że w ciągu trzech dni zgłosi na gestapo w Łukowie dla złożenia dalszych wyjaśnień.

– Uciekaj – radzili mu przyjaciele – ukryj się. Następnym razem nie będą tak łaskawi. Jesteś księdzem, już za samo to grozi ci śmierć. Znajdziemy ci kryjówkę.

– Nie mogę – odpowiadał. – Muszę jechać do Łukowa. Dałem im słowo kapłana, jak mógłbym je złamać?

2 maja 1940 r. sam zgłosił się na gestapo w Łukowie, a 3 maja przetransportowano go do Lublina. Przez kilka godzin był przesłuchiwany w gmachu przy ul. Uniwersyteckiej. Stąd zabrano go na osławiony lubelski Zamek, gdzie znajdowało się jedno z najcięższych więzień na terenie Generalnego Gubernatorstwa.

Nie wiedział wówczas, że w tym samym czasie, kiedy on przebywał na Zamku, zmarł jego ojciec. Ani tego, że rodzina starała się uzyskać dla niego przepustkę, aby mógł uczestniczyć w pogrzebie. Z gestapo nadeszła odpowiedź odmowna:

– Karola Wajszczuka nie ma już w Lublinie. Został wywieziony dalej.

W rzeczywistości wywózka nastąpiła dopiero 18 czerwca. Po mękach podróży w pociągu towarowym, 20 czerwca ksiądz Wajszczuk i jego świeżo poznany towarzysz niedoli, ksiądz Ceptowski, przybyli na stację Sachsenhausen.

Pamiętał, jak wraz z księdzem Ceptowskim przybyli do swego pierwszego obozu, do KL Sachsenhausen. Wypędzeni z wagonów, musieli biegiem przebyć daleką drogę ze stacji do obozu, popędzani krzykami i biciem. Nie było pobłażania dla osób starszych, wycieńczonych podróżą i trudami pobytu na Zamku, takich jak on. Miał przecież wówczas 53 lata!

Obóz objawił się im z daleka jako polanka wykarczowana w lesie, z rzędami baraków, otoczonych wysokim naelektryzowanym parkanem. Tam natychmiast oddzielono księży od reszty więźniów, oznaczając ich fioletowym trójkątem, przeznaczonym dla „sekciarzy” – osadzonych z powodów religijnych. Nastąpiła kwarantanna, czyli czas „przywykania” do obozu i jego systemu przemocy, połączony z rozmaitymi szykanami. Podczas wydawania

pasiaków nagminne było zrywanie z szyj księży medalików i darcie na strzępy brewiarzy, które potem esesmani z furią wdeptywali w błoto.

Teraz, siedząc oparty o ścianę baraku w Dachau, ksiądz Wajszczuk pomyślał, że każda pojedyncza rzecz może stać się narzędziem dobra lub zła. Nawet takie buty: raz mogą być narzędziem represji, a innym razem – narzędziem zbawienia...

Więźniom wydawano w obozie dwa rodzaje obuwia: drewniaki, jeśli mieli pracować na miejscu, i buty skórzane, jeśli wyprowadzano ich do pracy poza obóz. Ksiądz Ceptowski, jako silny 30-latek, dostał te drugie, wraz z przydziałem do pracy przy rozładunku statków na kanale. Ksiądz Wajszczuk, jako starzec, dostał te pierwsze, jako że miał pracować w brygadzie na terenie obozu.

W początkach sierpnia 1940 roku, po wyczerpującej procedurze kwarantanny, ksiądz Ceptowski wraz z brygadą „kanalarzy” („Kanallkomando”) po raz pierwszy wyruszył do pracy. Marsz w jedną stronę wynosił 4 km, które trzeba było pokonywać szybkim krokiem i ze śpiewem na ustach. Później więźniowie musieli biegać z taczkami po wąskim trapie, zwożąc ze statków węgiel, cegły lub cement. Nawet dla młodych organizmów była to praca ponad siły. Ksiądz Ceptowski po każdej dniówce padał na prycę jak nieżywy, a ksiądz Wajszczuk ze zmartwieniem patrzył na postępujące wycieńczenie przyjaciela.

Któregoś dnia, podczas przerwy obiadowej, przyniesiono księdza Ceptowskiego do obozu na noszach. Ksiądz Wajszczuk natychmiast pobiegł zapytać, co się stało.

– Nie utrzymał taczki i spadł z trapu do wody – wyjaśnił ktoś. – O mało się nie utopił.

Wieczorem ksiądz Wajszczuk usłyszał dokładniejszą wersję samego Ceptowskiego, który nieco już oprzytomniał:

– Nie mam siły wozić tego węgla. Ręce mi omdlewają. Przy czwartym kursie taczka wymknęła mi się z rąk i wpadła z całym ładunkiem do wody. Kazali mi po nią skakać, ale ja nie umiem pływać... Zawahałem się i wtedy ktoś mnie popchnął... Zacząłem tonąć. Potem mi powiedzieli, że sam Kommandoführer doholował mnie do brzegu. Pomyśl tylko – esesman skoczył do wody, żeby ratować więźnia!

Tego dnia Ceptowski nie poszedł już więcej do pracy, a następnego ranka z trudem stanął do apelu. Wciąż słał się na nogach. Usłyszawszy, że ma dołączyć do kolumny marszowej, zmierzającej na kanał wyładunkowy, poprosił cicho blokowego:

– Litości... Proszę mi zmienić przydział... Ja nie dam rady, jestem za słaby.

– Tu, w obozie, nie ma miejsca na słabych! – odrzekł mu blokowy. – Tu są tylko silni albo martwi! Mam dla ciebie jedną radę: weź ten sznurek – podał mu kawałek powroza – i idź się powiesić, wtedy będziesz wolny od pracy. Nie wcześniej!

Na takie ultimatum ksiądz Ceptowski nie znalazł odpowiedzi. Ze spuszczoną głową dołączył do swojej kolumny marszowej. Pomyślał o tym, że nawet jeśli jakimś cudem uda mu się dojść na miejsce pracy, to i tak wykończy go kapo za to wczorajsze wysypanie węgla do wody. Tak czy inaczej, prawdopodobnie był to ostatni dzień jego życia.

Wtedy jednak ksiądz Wajszczuk wystąpił z szeregu:

– Panie blokowy! – powiedział do funkcyjnego – przecież widać, że on jest niezdolny do pracy. Proszę wyznaczyć mnie zamiast niego!

– On młodszy i nie daje rady, a ty się porywasz? – zadrwił blokowy.

– Tak, ja stary, ale jeszcze mocny, a on już ledwo dyszy... – tłumaczył ksiądz Wajszczuk. – Zresztą z niego może jeszcze coś być, szkoda go marnować, a starca nie szkoda.

Ksiądz Ceptowski zebrał wszystkie siły i krzyknął ze swego szeregu, jak najgłośniejszym głosem:

– Panie blokowy, ja się nie zgadzam na taką zamianę!

Jednak jego krzyk zabrzmiał przeraźliwie słabo. Nie zwlekając dłużej, żeby przypadkiem nie próbowano go zatrzymać, ksiądz Ceptowski ruszył w drogę. Zrobił zaledwie kilka kroków, gdy ktoś znienacka obalił go na ziemię i przemocą zaczął ściągać skórzane buty z jego nóg.

To był ksiądz Wajszczuk. Zabrawszy buty, zostawił koledze swoje drewniaki, a sam pobiegł za kolumną. W drewniakach nie dało się maszerować, więc Ceptowski nie miał żadnych szans, by dogonić swoją brygadę. Musiał zostać. A jego starszy kolega, utykając trochę w zbyt ciasnych butach, poszedł za niego.

Poszedł, ratując mnie od śmierci – będzie wspominał po latach ksiądz Ceptowski, który przeżyje obóz – ale sam wpadł w jej sidła, bo z powodu ciasnych butów nie mógł się dobrze poruszać. Zbili go więc mocno, gdyż przy pracy poobcierał sobie nogi. Zwolniono go potem z tej pracy jako niezdolnego, a mnie już nie powołano i nie szukano.

W następstwie obtarcia nóg dostał flegmony – pisze dalej ksiądz Ceptowski w artykule „Kapłan męczennik Karol Wajszczuk”, opublikowanym w 1955 r. w „Słowie Powszechnym”– i jako inwalidę, niezdolnego do pracy, wzięto go do komory gazowej już z obozu w Dachau w 1942 r.

*Cześć kapłanowi – bohaterowi.
Boże! Miej miłosierdzie nad nim!*



Symboliczny grób ks. Wajszczuka na cmentarzu w Drelowie.

Fotografia ze zbiorów Małgorzaty Szczygelskiej

Ostatnie dni ks. Wajszczuka – kapelana POW, proboszcza w Drelowie, zbieracza zeznań świadków do procesu beatyfikacyjnego unitów podlaskich, konspiratora organizacji „Nasze Orły” (z której później wyłonią się grupy terenowe ZWZ i AK) – opisała prawnuczka jego stryjecznej siostry, Heleny z Wajszczuków Kłopotkowej z Trzebieszowa – Małgorzata Szczygielska

Urna z prochami więźniów Dachau w Kaplicy Księży
Dachauowczyków w katedrze w Kaliszu. Na tablicy
powyżej wymieniono nazwisko ks. Wajszczuka.

Fotografia ze zbiorów Małgorzaty Szczygielskiej



Marcin Rychta, *Poręcze*

Na początku nie było chaosu. To pewne. Być może później przyszedł wraz z nami – jednak na początku go nie było. Z całą pewnością. Jeśli dzisiaj stoję na dwóch nogach, tu i teraz, pewnie i samodzielnie – to dowód Kreacji. Chaos przyszedł wraz z tymi, którzy nie widzieli poręczy, przechodząc obok nich obojętnie lub je bezmyślnie usuwali – wycinając, bądź po prostu powalając i wyrzucając w zapomnienie...

Opowiem o nich. O poręczach z krwi i kości, drewnie i metalu... o prawdziwych *poręczach*. Nie balustradach, barierkach, płótkach, trzymadełkach... Mam na myśli prawdziwe poręcze. Te, dzięki którym istniejemy, w *jako-takim* pionie, – jeśli znaczenie tych poręczy zauważamy. Kiedy to było? Każdy miał taki czas... Czas, w którym działały się rzeczy bezpowrotnie minione i bezpowrotnie dziś utęsknione. Jeśli spadamy pamięcią w przeszłość – to właśnie na te ciepłe poduszki wspomnień, w których czas zatarł wszelkie cierpkie smaki i szorstkie faktury. Pamiętamy to, co gładkie, ciepłe i przyjemne... Taki prezent od Boga,

byśmy nie zwariowali; szczodry dar, byśmy w ciężkich chwilach mogli się gdzieś duchowo, mentalnie ukryć... Gdzieś, gdzie jest nam dobrze i bezpiecznie. Dzieciństwo.

Pierwsza poręcz była ważna. Szczególna. Była to poręcz na *tamie* – starej, nieczynnej już śluzie służącej do spiętrzania wody. *Tama* była równocześnie naturalnym mostkiem, dzielącym dwa brzegi rzeki. Na jednym ogródki działkowe, na przeciwnym koszne pole, wypasowe – pełne smacznego szczawiu, który z pewnością równie mocno smakował krowom, które poddajaliśmy dla zabawy, za nic mając rogate ryzyko. Zresztą... cóż nam wtedy nie smakowało...? Krzna i ogródki na *Kamieniaku* to był Eden. Nie znałem jeszcze mitów etno-kultur ani legend czy wierzeń rdzennych ludów o prapoczątkach i demiurgach tworzących świat – wszystko to poznałem później – jednak ogródki *Kamieniak* były Edenem, w którym nie brakowało niczego. Z całą pewnością Adam nie łuskał tak intensywnych we wszystkie wrażenia słoneczników, naprędce ukręcanych gołymi rękami, które lepiły się potem w słonecznikowym osoczu przez długi czas... Z całą pewnością Ewa nie skubała

takich malin, których sok czasem mieszał się na dłoni z krwią przesączającą się z zadrapań, rysowanych przez gęste oka stalowej siatki, przez które wpychało się – wprawdzie dziecięcą – jednak wciąż nie dość dopasowaną do tego grzesznego rozmiaru dłoń... Słodycz. A potem poręcz na tamie-mostku, na której wisiało się głową w dół i wielu innych pozycjach – tak, by w pełni i jak najbardziej z bliska, śledzić nurt rzeki, w której ferajna uczyła się pływać. Kamień milowy. Poręcz na mostku, pod którym, uczyłem się pływać w prawdziwym, naturalnym nurcie rzeki... Wisiałem na niej często przewieszony przez brzuch. Od pasa w dół czułem się jak prześcieradło, druga część natomiast ciążyła mi jak stara kapota z mokrym kapturem. Ciężko było wyważyć i znaleźć ten bezpieczny punkt, w którym poręcz powinna wbijać się w brzuch, by mieć jak najlepszy widok w dół, a jednocześnie nie spaść do rzeki. Ach... Cóż to była za rzeka... Krzna... Powiem tyle: tętniła wtedy we mnie jak młoda żyła, pełna zdrowej krwi... I wraz ze mną się dziś starzeje ograniczając swój rytm do podstawowych funkcji. Cierpliwie znosi zapomnienie, zaniedbanie... W każdym razie jest

wrośnięta w mój krwioobieg. Ktoś, kto chciałby ją wyrwać – rozerwałby mnie. Choć przyznam, że sam jej *upuszczałem soków*, wyławiając spod przepustowych kręgów tłuste okonie, a na larwy chrzączek cierpliwie obierane ze swych błotno piaskowych, grawerowanych sukienek, łowiłem kilkunastocentymetrowe kielbie. Wyjątkowo smaczne... słodkie. Sam sprawdziłem na patelni. Niejednokrotnie. Łowiłem je z poręczy w dni, w które nie uczyłem się pływać. Wszyscy z moich bliskich znali smak kielbia z Krzny. Średniowieczne zachowania i umiejętności były bardzo przydatne w PRL. Wprawdzie społeczność miała bardziej skomplikowany podział niż na zbieraczy i myśliwych – jednak znałem swoją rolę i umiałem zaspokajać własne potrzeby. Były też raki. Nic nadzwyczajnego. Norma. I tu słyszę zgrzyt we wspomnieniach. Zgrzyt łamanych, chitynowych szczypców. Metoda połowu była bardzo prosta. Wystarczyło wrzucić „cegłę dziurawkę” do rzeki na kilka dni. Cegła z wydrążonymi, okrągłymi otworami. Co bardziej operatywni w tych czasach, budowali z takich odlewów całe altany bądź jakieś przystawki.

Po kilku dniach raki kolonizowały ceglane dziury. Wyjmowanie z rzeki tych cegieł-pułapek czasami sprawiało nam szczyptę kłopotu. Nie wchodziliśmy do niepewnej wody. Braliśmy dwa długie kije. Nie byle jakie kije. Leszczynowe. Każdy z chłopaków, w okolicach rzeki, w wierzbinię gęsto rosnącej po brzegach, miał poukrywane takie kije. Leszczynowe żerdzie, różnych długości, grubości, przeznaczeń... Pozyskiwane z Zapowiednika, magicznego wówczas lasu. Otóż braliśmy dwa kije. Z brzegu sięgaliśmy po utopioną cegłę, wtykając drążki do skrajnych otworów i wyciągaliśmy taki ładunek *na rozwarcie*, ciągnąc ku górze i jednocześnie się od siebie oddalając, by wektory energii były zrównoważone. To była dopiero fizyka w praktyce! Nieuświadomiona, a przeżywana. Jeśli ktoś z nas uległ emocjom i chciał przyspieszyć, jeden z kijów łapał luz i dziurawka zsuwała się z patyków, lądując z powrotem na dnie i zagłębiając się mocniej w piasku i mule. Po kilku nieudanych próbach – nawet jeśli się ją wyjęło, nie było w niej raków. Sukces gwarantowała precyzja. Z cegły wyjętej za pierwszym razem, wyjmowaliśmy z okrągłych dziur po dwa, trzy, kulące swe

odwłoki stwory. Niestety czasami zdarzało się, że szerokoszczypcowe skorupiaki kolonizowały dziury skrajne, te, w które wpychaliśmy kije. Właśnie wtedy chrzęściło (czuć było tę wibrację spod wody, pełznącą po kiju aż do dłoni)... Żadna śmierć nie jest cicha. Czasem chrzęściło dwa razy. Raz w wodzie, raz na brzegu, kiedy takiego raka-inwalidę, wyłuskiwaliśmy w chitynowych skrawkach. To były nasze lekcje biologii. Cóż to była za biologia! Moja *poręcz na Kamieniaku* jest do dzisiaj. Wspomniałem o leszczynowym kiju... Mierzyłem czasami jego długość i przydatność do połowu ryb właśnie z mojej poręczy, sięgając do mieniającego się menisku. Leszczynowe kije były doskonałe. Lepsze nawet od bambusowych wędek, których zazdrościłem innym kolegom. Mój kij był najczęściej wędką, choć zdarzało mu się być harpunem. To też była świetna metoda połowu. Dla starszych. Brutalna. Trzeba było tylko uszczuplić ilość widelców w kuchennej szufladzie. To nie problem, bo nigdy w domu nie było pełnych kompletów. Najlepszy widelec to widelec aluminiowy bądź z jego domieszką. Dobrze się taki ostrzyło na asfalcie lub zwykłej

chodnikowej płytce. Wyostrzony widelec troczyło się po indiańsku na kiju i oścień był gotowy. Trzeba było być wyjątkowo sprytnym i cichym w chodzie, by z brzegu rzeki nabić na taki oścień rybę. Często się udawało. Kiełbie i okonie. Te drugie smakowały równie dobrze, ale kiełbie były słodsze...

Wróćę do poręczy. Otóż pod nią, pod mostkiem, w dość leniwie płynącej rzece, budowaliśmy tamę. Wodę piętrzyło się, układając ciężkie, wielokątne trelinki, jedna na drugą, które nawet w wodzie – tej właśnie wodzie, która w jednej ze swoich cudownych właściwości, starała się nam pomóc zmniejszając ich wagę – były jednak za ciężkie i potrafiły poważnie zranić stopy, kiedy wyslizgiwały się z rąk. Czasem udawało się nam spiętrzyć wodę do wysokości powyżej pępka dorosłego człowieka, co dla nas było już głębokością olimpijską, dzięki czemu mogliśmy się uczyć pływać innym stylem niż *po podlasku*. Pod poręczą nauczyłem się pływać w nurcie rzeki. Nowoczesna, kryta pływalnia, w czasach moich poręczy była poza marginesem wyobraźni. To co się działo po wewnętrznej stronie tego marginesu,

mógł rozumieć tylko Bóg i tylko On się tam nie gubił, stawiając strażę w odpowiednich miejscach. Ja ze swojej wyobraźni czerpałem obficie – jak nieroztropny ptak w nowym lesie, pełnym kolorowych jak groszki drobnych nasion i owoców. Próbowałem wszystkich, które były w zasięgu niestwardniałego jeszcze dziobka. Cud smaki! Chociaż – zachwaszczając nieco język – słowem prosto z gumna: sraczka też się przytrafiła. Nie biegunka czy rozwolnienie w zdrowotno medycznym znaczeniu... Wypisz wymaluj – prawdziwa *luzerka*, której konsekwencje odczuwali również moi najbliżsi.

Poręcz na Kamieniaku przestała być dla mnie ważna od przygody z Cyferką. Cyferka – moja młodsza siostra – wtenczas, (kiedy pod poręczą uczyłem się pływać) niespełna dwuletnia istota. Była tam z nami; dlaczego? Może dlatego, że mama w szpitalu, a tata w pracy? Pamięć nieco zatarta. W każdym razie dorosłego tam nie było. Co starsi uczyli się pływać, a Cyferka raczkowała na skraju mostkowych podestów. Scenariusz zawsze jest taki sam: „Chłup z wysokości!” Patrzyłem na sytuację jak na bajkę. Najstarszy brat rzucił się na ratunek,

biegnąc i walcząc z nurtem zabierającym Cyferkę. Jakoś się nie bałem, bo wiedziałem, że w końcu siostrunia zatrzyma się na tamie z trelinki. Pamiętam tylko brata, który wytaszczył z wody bezbronne, zachłyśnięte „zawiniątko” z bezwładnymi rączkami i położył na trawnik, układając na plecach. Bezruch. Rozłożył Cyferce rączki, szeroko jak na krzyżyku... Unosił je następnie i przyginał do klatki piersiowej. Scenę taką widziałem jedynie w animowanym *Reksiu* Marszałka. Przyglądałem się z uwagą czy takie pompowanie skończy się tak samo jak w *Reksiu* – małą, radosną fontanną z buzi ku górze. To nie była bajka. Fontanny nie było, a Cyferka i tak zaczęła kasłać i odkrztuszać. Pogoda jakby się wtedy zmieniła i już chyba nie pływalismy tego dnia. Nie pamiętam. Nie chcę pamiętać. Ważne, że nieopodal mojej poręczy był starszy brat Kazimierz (dla tych, którzy go kochali po prostu *Ziutek*). Kiedy ponad trzydzieści lat później wieszał się na swojej, pochopnie wybranej poręczy, kończąc swą drogę... mnie tam nie było. A powinienem.

Poręcz trzeba chwytać gołą dłonią, bez rękawiczki... Poręcz często jest zardzewiała, a czasami potrafi wystawać z niej drzazga lub przebija ostrze gwoźdźcia czy śruby, którą ktoś reperował. Zazwyczaj jednak – ta najczęściej używana, jest gładka i wyslizgana. Najważniejsze jest jednak nie to, jaka jest, ale dokąd prowadzi, lub kto ją trzyma razem z tobą... Przy moich poręczach zawsze byłem z kimś i byłem dla kogoś... Czas na kolejną.

Jeśli piszę *Apis* to mam na myśli konkret. Erudyta widzi byka zrodzonego ze słonecznego promienia, pszczelarz miłość swego życia i sens istnienia. Dla mnie wówczas *Apis* – równało się: biblioteka i *Kwadrat*. Konkretnie filia miejskiej biblioteki na parterze budynku, na którego szczycie od strony mojej podstawówkowej macierzy „czwórki”, przywieszone były schody wiodące do zewnętrznych, przystrychowych drzwi. Dziwna to była konstrukcja. Jakby zabrakło miejsca dla tych schodów wewnątrz budynku. W każdym razie (tak mi się wydawało), stanowiły jedyną drogę na poddasze budynku. Na ich szczycie był *Kwadrat* – betonowy, niestabilny i drgający podest-podłoga, przed drzwiami bez klamki –

nigdy przez nas niesforsowanymi. *Kwadrat* sam w sobie był naszym celem i bezpiecznym schronieniem podczas długich przerw międzylekcyjnych, których nie spędzaliśmy na szkolnych korytarzach we wspólnej, karnej marszrucie, tylko wyrwaliśmy się cichaczem, przez słabo strzeżoną szatnię na teren przyszkolnego boiska, by potem rzucić się pędem w stronę naszego *Kwadratu*... Nasz Dom... Mój i mojego przyjaciela Tehawanki. Do *Kwadratu* prowadziła poręcz oparta na schodach; niektóre z nich mocno odchylone, powyginane, odstające niebezpiecznie od budynku. Słowem – siermiężna, budowlana prowizorka. Przypuszczam, że poręcz ratowała nam życie... A jeśli nie tak bardzo dosłownie życie, to na pewno strzegła przed upadkiem i trwałym kalectwem. Znaleźliśmy *Kwadrat* dla siebie samych. Ja i mój przyjaciel Tehawanka... i nasz *Kwadrat*. Nasz dziecięcy azyl w postaci inżynierskiego bubla, który wyglądał na samowolę budowlaną – dla nas był jednak niczym oswojony, nepalski rygiel, nie dla wszystkich dostępny i nie wszystkim znany. *Kwadrat* był namiastką prawdziwego szałas... wigwamu... Dziś powiedziałbym: *Domu*,

k który stworzyliśmy z Tehawanką. Choć ścianami jego był wiatr, a podłogą wykruszony, chwiejny, betonowy podest – czuliśmy się tam bezpiecznie, gdyż wiodła nas do niego solidna poręcz. Z *Kwadratu* patrzyliśmy „z góry”. Mieliśmy widok na szkołę, boisko otoczone wysypaną żużlem bieżnią – popaleniskowym miałem, pozyskiwanym zapewne z sąsiadującej kotłownio-ciepłowni, z terenu której wyrastały trzy szarostalowe kominy, niczym z parowca na Missouri. Z naszej podwyższonej względem terenu perspektywy – dzięki tym kominom i przestrzeni boiska, czuliśmy się niczym na pokładzie tego płynącego, bujającego się parowca. Oceanem były fale z liści – przy szkolnym ogrodzeniu rosły wyjątkowo imponujące rozmiarami topole. Były też jesiony i kilka cudownych klonów, które w rozkwicie obdarowywały nas „*noskami*” – nasiona na blaszkach rozwarstwialiśmy i przyklejaliśmy sobie do nosów, przeżywając, że „*z klonów to się robi cukier w Kanadzie i nawet liść jest na fladze*”. Cóż to była za Geografia! Cud. Zarówno Tehawanka jak i ja – Szalony Koń (czas ujawnić imię, na które zasłużyłem konkretnymi sprawnościami, uznawanymi

przez naszą dwuosobową Radę Plemienia) wiedzieliśmy jak używać poręczy żeby nie spaść. Często widzieliśmy z góry grupki kolegów ukrywających się przy ścianie gospodarczego budynku na styku ogrodzenia kotłowni, do którego co jakiś czas pan woźny przynosił paki z makulaturą, pozyskiwaną z systematycznych wtedy akcji zbiórki makulatury. Wszyscy oni zajęci byli zapachowym poznawaniem właściwości chemicznych butaprenu i hermolu – szewskich i modelarskich klejów w tubach, które można było kupić w kiosku. Taka przedłużona lekcja chemii... i psychofizjologii (tego słowa jeszcze wtedy nie znałem). Dzięki mojej poręczy nie brałem udziału w tych praktykach. Moje Złoto Gór Czarnych było na *Kwadracie*.

Tak więc, dzięki poręczy, którą z trudem obejmowała dziecięca ręka, z ryzykiem – jednak w finale bezpiecznie, docierałem na *Kwadrat*. Sam nie wchodziłem nigdy. Bez Tehawanki nie miałoby to sensu. Byłem sprawniejszy i mogłem się popisać, a jednocześnie dbałem o jego bezpieczeństwo, tak jak on zadbał o moje – systematycznie, niczym kroplówkę,

pożyczał mi kolejne *Tomki* Szklarskiego (ze zbiorów swego ojca), a potem pomógł mi zapisać się do biblioteki na parterze, w podbrzuszu Apisu... Cóż tam był za zapach... Eeeech... Molinary, Galimardy, czy inne Fragonardy to zaledwie blade poświęty moich dziecięcych, zapachowych cymesów, czerpanych stamtąd i wchłanianych z lubością przez często wtedy zakatarzone nozdrza.

Pamiętam Białego Kłā, Żelaznego Wilka, i białe żagle wielkiego masztowca na okładce Stevensona... Do dzisiaj mam te trzy blizny gdzieś wewnątrz, dzięki którym zrozumiałem, że skóra na bliźnie jest delikatna. Jest taka wtedy, kiedy nie zszywa się rany, tylko pozwala krwi rozpułnąć, a opatrunek robi się samodzielnie (czasem tylko babką z trawnika). Czytałem kolejne akapity i mnóstwo słów, których smak poczułem dopiero po latach...

Nie wiem kiedy, ale w pewnym okresie ważniejsze stało się schodzenie w dół – z *Kwadratu* ku bibliotece, w której spędzaliśmy coraz więcej czasu. Dzięki poręczy schodziliśmy tam bezpiecznie. Z książkami na *Kwadrat* nie wracaliśmy.

Poręcz, dzięki której dostawaliśmy się na *Kwadrat* zniknęła wraz ze schodami – konstrukcja została odcięta od budynku.

To nie może być zwykły przypadek... To metafizyczna koincydencja, że kolejna poręcz, o której opowiem to poręcz również związana z biblioteką. Ba, wiodącą do niej wprost. W innym miejscu, w innych okolicznościach. Ten sam Łuków; jednak tym razem *Księdza Prymasa* 24. Jestem chrześcijaninem, nie numerologiem ani kabalistą, jednak nie uważam za przypadek, że u schyłku wojennej pożogi, działalność owej biblioteki wznowiono w 1944 – roku narodzin mojego Taty. Rodził się więc na nowo mój przyszły księgozbiór i rosła też Moja Księga, z której się zrodziłem, a której niestety nie doczytałem... Wspomniany adres to ciekawe miejsce (żeby nie powiedzieć *dziwne*). Dziś już tam nie chodzę, bo po zamknięciu drzwi czuję się jak na miejscu zbrodni, na którym odebrano mi kogoś bliskiego. Narasta lęk i sączy łza. Zamykam oczy i wyobrażam sobie ten boski zapach filcowych, bibliotecznych kapci sprzed lat... Kajakowe rozmiary, niektóre prawdziwe,

posuwiste wielomasztowce, do których bezpiecznie zmierzałem z parteru na piętro przy mojej poręczy. Pięknej, gładkiej, w której z pewnością została zaklęta część duszy kowala, który ją wykonał, prowadzącej tam gdzie trzeba, starannie pozawijana w miejscach, w których należy. Nadzwyczaj stabilna – niejeden raz to wypróbowałem. Zmierzałem przy tej poręczy, schodek po schodku ku górze, rozkoszując się stłumionym jękiem schodów (wiedziałem gdzie nadepnąć by mi odpowiedziały). Zmierzałem na piętro przepełniony doznaniem. To nieprawdopodobne jak może się zatrzymać czas na przestrzeni kilkunastu schodów, przedzielonych półpiętrami. Wtedy nie znałem tego powiedzenia, (którego zresztą bardzo nie lubię; wolę wersję włoską: *nie możesz mieć pełnej butelki wina i jednocześnie pijanej żony*) – jeśli jednak w ogóle w życiu człowieka możliwe jest *zjeść ciastko i mieć ciastko* – to właśnie taki stan przeżywałem w tej odległości po zamknięciu drzwi frontowych, poprzez ścieżkę przy mojej poręczy wiodącej mnie ku bibliotecznym drzwiom. Właśnie na tej klatce schodowej, na tych rozmawiających ze mną schodach i przy umiłowanej poręczy –

przepełniony pewnością, że filce na mnie czekają... Właśnie wtedy miałem ciastko i jednocześnie je zjadłem rozkoszując się smakiem... i wciąż je miałem... Ba... Całą patereę wypasionych rurek i innych napoleonek. Śliniłem się z rozkoszy, prowadzony przez moją poręcz w jedynym słusznym kierunku. A dziś? Zabraliście mi ją!!! – lka wewnątrz mnie oskarżenie, którym nie wiem, w kogo rzucić. Barbarzyńcy! Gdzie jest ta poręcz? Mam nadzieję, że leży gdzieś, jako cenny artefakt, który ktoś ukochał bardziej ode mnie... I że jest równie dobrze skryta, co bursztynowa komnata... Muszę w to wierzyć... Choć wypłukiwana przez codzienność wrażliwość, coraz bardziej z dnia na dzień wypłukiwana wraz z idealistyczną naiwnością, nie pozwala mi myśleć inaczej jak tylko, że rzeczywistość jest chropowata i najzwyczajniej poręcz moja została pocięta i zważona na kilogramy... Pewnie na takiej starej wadze, na której ważyło się kiedyś martwe tuczniki. Takiej, z której czasami korzystał mój dziadek, który miał wielki szacunek do ręcznie kutych poręczy przez wzgląd na znajomego kowala, z którym dzielił miłość do wszelkiego rękodziela i wiejskiego

rzemiosła, a którego poznał w okolicy baraku nr 54, który stanowił kuźnię i jednocześnie ślusarnię we fragmencie płaczących ku niebu kilkudziesięciu hektarów lubelskiej ziemi, wtenczas otoczonej podwójną linią drutów pod napięciem...

Dziadek Kazimierz... Rocznik 1923. Doskonale klepał kosy. Większość wiejskich gospodarzy korzystała z jego kunsztu. Doskonale też naprawiał suporty i zębatki rowerów, które ścierałem i tępiłem równie szybko, co żeńcy wyklepane przez Dziadka Kazimierza ostrza na słomianych kolanach złotych zbóż, którym dawano wtedy szansę plonować bez *randapów*... czy innych *fitofarmaceutyków-wynalazków*. Otóż Dziadek Kazimierz – były więzień Majdanka – ma dzisiaj ołtarzyk w mojej pamięci, na którym drgają płomykiem historie o spodniach z kieszeniami pełnymi ziaren ugotowanej fasoli i mięsie z wiewiórki. Mięsie, którego zjedzenia odmówił, pomimo dojmującego głodu. Koledzy, pozbawiając życia nieostrożnego, orzechowego gryzonia z dumną kitą, zjedli go z konieczności i niedługo potem wszyscy, cierpiąc na podobne dolegliwości, pomarli. Głód trzeba poskramiać jak tygrysa.

Wypuszczony z klatki potrafi zabić. To, że wiewiórka nie była koszerne nie mogło mieć znaczenia – dziadek nie był Żydem. Większość więźniów obozu było Żydami, a Polacy byli w obozie przejściowo – przed wywózką na roboty w głąb Rzeszy lub byli to więźniowie-zakładnicy wylapywani w lubelskich wioskach za rzekomą (nieudowodnioną, jednak najczęściej realną) pomoc partyzantom lub sabotaż zarządzeń znienawidzonego Niemca-okupanta. Dziadek nie znał słowa *nazista*. Dziadek Kazimierz był prostym człowiekiem, tak jak proste w swej konstrukcji było dwupięcowe krematorium na terenie obozu. Niemiec-okupant. To prosty przekaz. Papież Polak. Papież Niemiec. Sytuacja się komplikuje, a ponieważ nie jest to historia filozoficzna wróćmy do dziadkowego ołtarzyka pamięci. Jak się miała sprawa z fasolą? Po uchyleniu bram Majdanka w sierpniu 1944 – jak opowiadał Dziadek Kazimierz, do rodzinnego Strzyżewa, wrócił z dwoma kolegami, druhami obozowej niedoli. Koledzy wyzwolenicy, wolnościową ucztę zrobili z wieprzowej świeżyzny i wszystkich specjałów, które w obozowej rzeczywistości nękały ich, w sennych ułudach,

szarpiąc zassane trzewia.... Ucztowali dni kilka objadając wolność i zatłuszczając wspomnienia... Dziadek mój – choć jego matka Marianna miała także spiżarkę gotową by uczcić powrót syna do życia – poprosił o ugotowanie fasoli, którą sypnął w kieszeń i wydzielał sobie każdego dnia po kilka ziarenek, zwiększając ich ilość. Trzymał tygrysa na wodzy. Nic więcej. Fasola i woda. Woda i fasola. Kiedy doszedł do dwóch kieszeni dziennie – a było to po ponad dwóch tygodniach – we wsi odbyły się już pogrzeby kolegów, z którymi wrócił z katorżni, a których spotkały dolegliwości podobne do tych, które nie oszczędziły amatorów wiewiórki zza obozowego płotu.

Tak było z dziadkiem. Oswoił tygrysa. Znał się też na rakach... To właśnie przez niego (nie dzięki niemu, tylko *przez niego*) usłyszałem pisk raka. Pisk, a może płacz... Raczej rąbek płaczu, który spłynął piskiem. Przyniosłem do domu raka, z ciekawości. Nie miałem co do niego żadnych planów. Dziadek, opowiadając mi kolejną swoją historię (historie opowiadane przez dziadka zawsze kończyły się dobrze), poprosił, bym zagotował w garnku

wodę. Zrobiłem to. Potem powiedział, żebym na bulgoczący wrzątek wrzucił raka. Uczyniłem. Usłyszałem jego krótki płacz i pisk... Zobaczyłem też jak szarobrunatna otoka stała się czerwona – jak w bajkach. Dziadek nie opowiedział mi wtedy historii, którą bym dziś pamiętał. Zjadł raka, a raczej te drobinki, nie większe niż kilka połamanych na czworo i postrzępionych zapalek, które to wyskrobał paznokciem spod odwłoka i wyssał z nasady szczypców wielkości dwóch paznokci dorosłego człowieka. Mam żal do Dziadka Kazimierza, ale go rozumiem... Dzisiaj. Tygrys czasem się wyrzywa.

Oddaliłem się nieco od mojej umiłowanej poręczy na *Księdza Prymasa 24*, a przecież była równie ważna dla mojego Taty, dla którego co jakiś czas przynosiłem, co grubsze tomiska. O Tacie nie będę dużo pisał. Jest Skarbem mojej pamięci. Powiem tylko, co istotne dla rzeczy w tej historii. Był kolejarzem. Karciane wykształcenie w stopniu ponadprzeciętnie wysokim posiadałem więc na długo przed tym, zanim solidnie opanowałem tabliczkę mnożenia i odmianę przez przypadki. Tysiąc, remik, poker, *ciul*, makao... Gdyby z tego były

szkoły... Byłbym prymusem, (co nawiasem mówiąc nigdy mi się nie zdarzyło). Tata był też zapalonym grzybiarzem. Częste połączenie: kolejarz-grzybiarz, grzybiarz-kolejarz. To on nauczył mnie, jak gasić w środku lipcowego lasu papierosa o dąb, by lasu tego jednocześnie nie spalić... Nauczył mnie też, że puste butelki zabiera się z powrotem do domu... I dzięki niemu potrafię w tym samym gorącym lesie, bez żadnej lodówki i innych aluminiowo-termicznych wynalazków przechować masło oszczędnie odcięte z kostki w stanie nieroztopionym. Wystarczy słoiczek i woda. Kromka chleba, masło, zielony ogórek na cały dzień w lesie. Nic nie smakuje lepiej... Nie poznasz tego smaku. By to poczuć musi być jeszcze *T e n* las i *T e n* Tata. Zawsze jednak masz szansę stworzyć swój własny smak. Próbuj. Roztoczy się w tobie po latach. Będzie twój. Tylko musisz żyć. Musisz być w ruchu. *Real* to jedyna szansa byś coś podał poza siebie lub odebrał od *Wygastłych*. Tak, więc Tata był kolejarzem-grzybiarzem i to on pokazał mi poręcz, bez której nie byłbym tym, kim jestem nawet w ułamku promila. Z *Lasów Kownackich*, do których mnie zabierał, kiedy miało się już

pełny kosz grzybów, można było wrócić do Łukowa osobowym, niezapomnianym piętrowcem typu *bipa* (zwanym przez niektórych Włóczęgą Północy), ciągniętym przez parową lokomotywę. Klasyk. OKz32 – ponad sto ton polskiej, pięknej czerni od Cegielskiego, tendrzak z piętnastoma atmosferami w kotle, czerwonymi kołami i tłokami, relingiem i pięknym orłem na „klapie” poniżej okna, z którego wystawał łokieć i usmolona uśmiechem twarz. Stalowa piękność, którą nasze dzieci najczęściej znają tylko z fotografii. Lubilem siadać w pierwszym lub drugim wagonie, na górnym poziomie i wcale mi nie przeszkadzało, że komfortu tej konstrukcji nie zawdzięczam już Cegielskiemu a Lüdersowi z Görlitz. To właśnie z tego piętra, przy sprzyjającym wietrze wdmuchującym wypływane przez lokomotywę dymy i parę, wprost na pierwsze wagony, można było w wystawioną przez okno rękę smaganą ciepłym powiewem pary i dymu, złapać gorące drobinki sadzy. Jak już powiedziałem, można było wrócić tym pociągiem. Jeśli się miało jednak Tatę grzybiarza-kolejarza, to kosz był pełny kilka godzin przed planowanym

przybyciem pociągu i trzeba było wrócić wcześniej. Tata, dzięki kolejarskiej wiedzy, potrafił wykorzystać możliwości, jakie stwarzał przejeżdżający czasami skład towarowy – ponad 20 wagonów potężnych cystern z paliwem, ciągniętych przez zielonego „Gagarina”, pijącego ponoć wiadro ropy na kilometr. Trzeba było być grzybiarzem-kolejarzem, by arkana wiedzy z tych dwojga zakłść wykorzystać i wrócić wcześniej do domu, stojąc na wąskim, kratowanym podeście między dwoma cysternami – tuż przy sprzęgu śrubowym, który spinał te żeliwne potwory. Staliśmy na tym małym fragmencie przestrzeni trzymając kurczowo poręcz. Za plecami – można było się oprzeć – hektolitry benzyny w cysternie przypasanej do platformy wagonu stalowymi, szerokimi pasami, które zdawało mi się, że zaraz popękają i zostaniemy zmiażdżeni, bo na odległość ręki (tak to pamiętam), tuż przed twarzą, kołysała się druga cysterna na równie niestabilnym i kołyszącym się wagonie. Czułem się jak mucha między dłońmi, które chcą ją upolować. Hałas, jaki tej przejażdżce towarzyszył... Nie jestem w stanie znaleźć słów by go opisać... ale pewnie z tego powodu nie dano mi szansy, *pardon* –

Tata nie dał mi szansy, bym został muzykiem. Tak więc była tam poręcz. Ścisnąłem ją. Obok stał Tata. Uśmiechał się i też ją trzymał. Nie palił już papierosa, tak jak lubił w lesie. Obiema rękami trzymał poręcz, a między nogami kosz pełen grzybów. I ja i Tata trzymaliśmy poręcz. Teraz wiem, że jeśli trzyma się tą samą poręcz, co Ojciec, to nie mają znaczenia hektolitry łatwopalnej i wybuchowej substancji w mega potężnych cysternach, które ocierają się o plecy z jednej strony i nacierają na twarz z przeciwnej. Kiedy skład wyhamowywał i uruchamiały się amortyzujące, okrągłe i wielkie niczym monstrualne płaskie patelnie zderzaki, wagony zbliżały się do siebie napierane siłą własnej masy. Na chwilę mrużyłem oczy. Były tak blisko. Przestrzeń malała. Była jednak stabilna poręcz i Tata – lub właściwiej: Tata i stabilna poręcz. Jeśli trzymasz tą samą poręcz, co Ojciec – jesteś bezpieczny. Najbardziej się bałem czy skład zatrzyma się w moim mieście czy też nie zabierze nas w głąb Polski, której jeszcze nie znałem, a której ból i najgłębsze rany, do których dzisiaj wiodą

właśnie drogi kolejowe, jest mi – również przez historię Dziadka Kazimierza – szczególnie cenny i bliski.

W skrócie mówiąc – wypuszczenie tej poręczy między cysternami groziło śmiercią. Ale Tata dokładnie wiedział gdzie się ten nasz ziemski prom kosmiczny w postaci tysięcy ton na szynach zatrzyma. I wiedział też, kiedy poręcz można puścić. Nauczyłem się. Tak jak nauczyłem się rozpoznawać grzyby, by ich degustacja była przyjemnością, a nie loterią. Dziwne to złudzenie, ale mam wrażenie, że z moimi synami codziennie jadę między tymi cysternami jakimś niewidzialnym pociągiem...i staram się trzymać jakąś niewidzialną poręcz... Nie wiem czy oni ją widzą, nie wiem czy ją czują. W chwili takiej niepewności nie wiem, co lepsze... przytulić, by nie spadli, czy wierzyć, że samodzielnie potrafią trzymać tą poręcz oburącz... Ja przecież kiedyś zeskoczę pierwszy, kiedy skład się zatrzyma...

Na początku nie było chaosu. To pewne. Co widzę dzisiaj, idąc pewnie na dwóch nogach, idąc dorośle...? Widzę starannie wydzielone, otoczone siatką i przykryte daszkiem

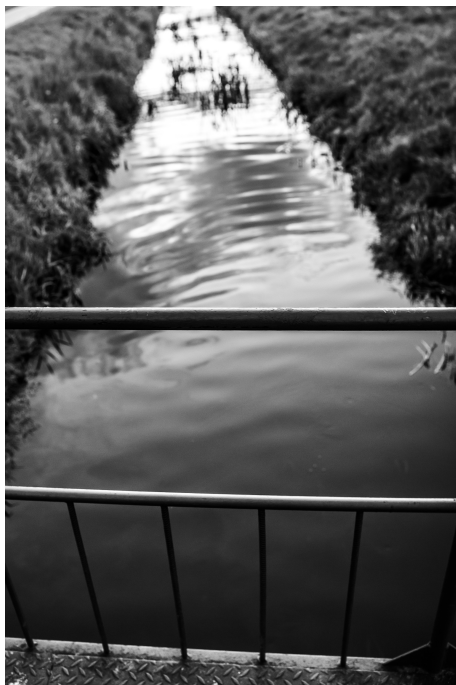
z trapezowej stali boksy śmietnikowe. Dlaczego wydzielone i zabezpieczone? Żeby inni nie podrzucali śmieci. Inni... Skąd niby? Przecież każdy ma swój brudownik i właściwą sobie kloakę... Czy to możliwe, by zdrowy psychicznie człowiek podrzucał śmieci innym? To znaczy w miejsca, w które ustaliła sobie inna grupka *Innych* ? W każdym razie myśli te, jak i myśli o potwornie zaśmieconych lasach przerwał mi obraz bezdomnego człowieka; nie wiem, dlaczego od razu pomyślałem, że jest bezdomny – z pewnością stało się to siłą wtłoczonych w podciśnieniu dzieciństwa stereotypów. Ów człowiek ubrany był w coś, co przypominało wielosezonowy wór na wykopki, przeznaczony do segregacji zgniłych ziemniaków, barchanowe spodnie upięte poszarpanym, skajowym pasem na wysokości mostka i z motyką (tak to narzędzie wyglądało) przerzuconą przez lewe ramię, niczym kij wędrowny bez tobołka, ale za to – w imię potrzeb i celów, na główni kostura, zamiast tobołka błyszcząły trzy ostrza surowo sklepane, odbijające blaskiem flesze słońca, co mogło świadczyć, że są często używane. Chcę powiedzieć, że w całym tym wizerunku dominowała

jeszcze broda... Czerstwa, wyczesana niejednym wiatrem broda bezdomnego... Bezdomnego, który drwił z życia wystawiając mu ją z twarzy niczym środkowy palec... Broda niczym nieprzebyty bór, w który lękałby się zapuścić nawet najodważniejszy *globbarberotroter*. Barber-praktyk-profaner – owszem, dałby jej radę, ale nikt inny. Zniknął mi nagle z oczu i znalazł się poza siatką, wewnątrz śmietnikowej klatki. Nie wiem jak. Każdy, kto potrzebuje i chce – znajduje sposób. Potem widziałem pół odwłoka spod zielonej klapy i rytmiczne ruchy trzonka błyszczącego kostura, które przypominały ruchy tłoka przy kołach starej, parowej lokomotywy.

Poprawiając słuchawki w uszach i przeciągając po aktywnym ekranie własnego smartfona, kciukiem nawiązywałem kontakt z alternatywnym społeczeństwem, przebijając się przez „*kto, kiedy, gdzie, z kim i po co...*”, zasypany równie natarczywymi, infantylnymi foto; pomyślałem, że każdy grzebie w czyichś śmieciach... Nawet ja. Chcąc nie chcąc...

A wymarzona przeze mnie Skóra Delfina, na którą zapadałem coraz głębiej i Nadiejka, wskazana mi przez Anioła, której oddałem serce bez reszty, dojrzewają wraz ze mną i mienią jak jedwabny bisior. Płukane słońcą falą, co kilka sekund... W żadnym miejscu nie dotknięte stęchłym, zjełczałym, śmietnikowym tłuszczem cudzych wykwitów w wirtualnej cyberprzestrzeni, w której nie ma żadnych poręczy...







Fotografie ze zbiorów Marcina Rychty

Anna Piliszewska, *Taka sobie historia*

Kuzyn Bronek, Stefanek i Elżbietka-Wioletka z drugiej strony ulicy, zapylone podwórze pełne licznych sekretów, no i lody, te lody – nieśmiertelne Bambino! Oto największe z zalet, gdy się jedzie do ciotki. A jeszcze żelazny trzepak. I włóczenie samopas, i wypadki po ciastka. No i jeszcze mężczyzna, którego zwaliśmy Zegar...

Jegomościa Zegara trudno było nie spostrzec – nie to, żeby wyróżniał się ogólnym wyglądem: ot, facet w kapeluszu i brązowym prochowcu. Siwy, starszy mężczyzna z plikiem gazet pod pachą, bywało, że z papierosem. Normalny. Jego szarawa twarz nie przyciągała z daleka. Dopiero po zawarciu przelotnej znajomości i uważnym oglądzie, Stefanek zawyrokował - Ten pan ma twarz jak... tarcza.

– Że co?

– Jaka znów tarcza?

– Przyjrzyjcie się uważnie! – Stefan pilnie tłumaczył – jego brwi są podobne do wskazówek zegara. No, więc twarz jest jak tarcza. Zwykle brwi pokazują za kwadrans trzecią, ale kiedy się dziwi... Ho!, wtedy mamy drugą pięćdziesiąt.

Musieliśmy to sprawdzić przy najbliższej okazji. I... rzeczywiście. W ten sposób nasz pan Zegar został panem Zegarem. Ale to było potem. Bo wcześniej zawarliśmy tę niezwykle znajomość – chyba zwykłym przypadkiem...

*

Minęło senne południe. Po rodzinnym obiedzie znów poszliśmy się włączyć: ja, Stefanek i Bronek, i Elżbietka-Wioletka. Łaziliśmy i tu, i tam. I jakoś nas poniosły nogi pod kino – nie wiadomo dlaczego. No, po prostu tak wyszło. I on tam był. Ten pan.

– Spójrzcie tylko na niego! – Bronek prawie osłupiał. Bo rzeczywiście – niby zwyczajny facet: ot, siwy, starszy mężczyzna z gazetami pod pachą, ale... on zamiast pieska (o bogowie!), na smyczy prowadził burego kota.

– O rety!

– O kurka wodna!

Staliśmy, póki nie odszedł.

Jakoś kilka dni później wujaszek wpadł na pomysł, że można by się wybrać do Oazy – całą rodziną. Skoczyliśmy z kuzynem, aby zerknąć na program. O starszym mężczyźnie z kotem zdążyliśmy zapomnieć. Ale on znów tam stał.

– O, przepraszam! – wystękał Bronio z nieszczęsną miną, gdy, zagapiwszy się na całego, potrącił pana niechcący.

– Nic się nie stało – rzekł pan.

I wypadło odejść, ale Bronek – być może bo lubi koty – niespodzianie wypalił: – A... można Mruczka pogłaskać?

– Owszem.

Bronek pogłaskał. Po czym jął drążyć temat.

– Jak on ma na imię naprawdę?

– Drops.

– A czemu chodzi na smyczy?

– Hm... Chyba dlatego, że się o niego troskam. Zależy mi, by zażył słonka oraz powietrza.

– Aha.

– A sam chodzić nie umie?

– Umie. Ale nie puszczam. Jak mówiłem wam wcześniej, ja boję się o niego.

– Dlaczego?

– Z powodu aut.

Przy kolejnym spotkaniu naszemu nowemu znajomemu przedstawiliśmy Stefcia i Elżbietkę-Wioletkę. Następnie Stefek wymyślił, że pan Zegar to Zegar.



Budynek kina „OAZA” w Łukowie. Fotografia ze zbiorów Romualda Pawlaka

*

Siedzieliśmy na ławce: nasza paczka, Drops oraz jego właściciel. Miło było pogadać. Jak powiadała ciotka: człowiek nie słup, to chodzi. A gdy chodzi, to nieraz spotka drugiego człeka. Ale my chodziliśmy pod Oazę specjalnie. Po jakimś niedługim czasie pan Zegar już na nas czekał.

– Dlaczego pan tu przychodzi? – spytał naraz Broneczek.

– A... nie wolno?

– Wolno. No, jasne... – wybąkał speszony kuzyn.

– No, dobrze. To ja wam powiem. W tym kinie poznałem Hanię, znaczy się moją późniejszą, ukochaną małżonkę. Byłem młody. Mieszkalem tutaj, nieopodal, z ojcem. Pracowałem. Czasami przychodziłem do kina. To było w czterdziestym piątym. Wcześniej się nie chodziło, chociaż było tu Corso.

– Wcześniej?

– No, w czasie wojny. Wiecie, tamta Oaza wyglądała inaczej. Inny wystrój. No, w ogóle... Starszy pan otarł czoło kraciatą chustką do nosa. Westchnął, nim podjął temat: – No, więc pewnego razu poznałem uroczą pannę Hanię. I wtedy zrozumiałem, że... Lecz mniejsza o szczegóły! Po ślubie zakupiliśmy znacznie większe mieszkanie, w całkiem innej dzielnicy, jednak coś nas tu ciągnęło. W wolnym czasie wciąż chętnie chodziliśmy do kina. I toczyło się życie. Rok temu Hania zagasła. I zostałem z tym kotem. I dlatego tu chodzę, bo mam wielki sentyment...

*

Z panem Zegarem i Dropsem spotykaliśmy się często, jednak już nigdy więcej nie wracaliśmy do jego wspomnień.

Kiedy przeminął sierpień, a z nim czas kanikuły i trzeba było wyjechać, rozstaliśmy się z prawdziwym żalem.

Jakoś w styczniu, czy w grudniu, kuzyn Bronek doniósł mi w liście, że nasz wspólny znajomy wyjechał ze swoim kotem. Do Suchej, w góry, do córki. I że tutaj nie wróci.

Kolejne wakacje u ciotki nie były już takie fajne. Niewykluczone, iż sprawił to brak. Brak, jaki zwykle zasmuca, kiedy powstaje pustka po kimś, kogo się nie da zastąpić żadną inną osobą. A wszystkim nam brakowało i staruszka, i Dropsa.

Do dziś żałuję, że nie mam ani jednej pamiątki z tamtych letnich wakacji. A czas mąci dawne obrazy, słowa, zapachy, gesty...

Być może ktoś zaneguje sens wędrówek ścieżkami zakurzonej pamięci. Być może ktoś wzruszy ramionami i krzywiąc się, butnie oświadczy, że to było nieważne. Być może, jeśli Ci wspomnę o sympatycznym, starym mężczyźnie z kotem, pokiwasz głową i powiesz: ot, taka sobie historia...



Budynek kina „OAZA” w Łukowie. Fotografia ze zbiorów Romualda Pawlaka



Fotografia ze zbiorów Łukowskiego Ośrodka Kultury

Spis treści:

Wstęp.....	5
Małgorzata Szczygielska, <i>Buty</i>	4
Marcin Rychta, <i>Poręcze</i>	25
Anna Piliszewska, <i>Taka sobie historia</i>	56

Redakcja: Alicja Dymitruk

Projekt okładki: Anna Karolkiewicz, Michał Żurawski, Hubert Wysokiński

Korekta: Jolanta Gnas-Zienkiewicz, Alicja Dymitruk, Sławomir Żyłka

ISBN 978-83-910651-5-0

Wydawca:

Łukowski Ośrodek Kultury

21-400 Łuków, ul. Ks. Kard. St. Wyszyńskiego 20



Łukowski
Ośrodek
Kultury

Druk:

P.P.H IWONEX

08-110 Siedlce, Ujrzanów 289

